

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

JAK REDAGOWAŁEM DZIENNIK W TENNESSEE

Mark Twain

Lekarz zalecił mi w celach zdrowotnych wyjazd na Południe, wybrałem się więc do stanu Tennessee, gdzie wyrobiłem sobie posadę współpracownika w czasopiśmie "Wrzask Południowo - Amerykański".

Kiedy wszedłem do lokalu redakcji, by rozpocząć pracę, zastałem naczelnego redaktora pisma, skurczonego we dwoje na stołku o trzech tylko nogach, podczas gdy jego własne nogi leżały przed nim na stole.

W pokoju znajdował się jeszcze, oprócz pana redaktora, stół i fotel mocno zużyty. Obydwa te sprzęty, a więc tak stół, jak i fotel, ugiwały się pod stosem gazet, wycinków i rękopisów.

Oprócz tego mieściła się w lokalu paka z piaskiem, zasypana niedopałkami cygar i papierosów, oraz piec z drzwiczkami wiszącymi precyzyjnie na jednej tylko zawiasie.

Pan redaktor naczelny ubrany był w długi, czarny surdut oraz białe płócienne ineksprymable. Buty miał zgrabne i starannie oczyszczone. Ubioru dopełniała pomięta koszula, wielki pierścień z brylantem na palcu, stojący kołnierzyk archaicznego kroju i wzorzysty krawat o luźno zwisających końcach. Cały ten strój utrzymany był w stylu roku 1848. Redaktor palił hawańskie cygaro i widać szukał w myśli słowa do jakiegoś zdania, grasujące bowiem w czuprynie palce rozwichrzyły ją w niemożliwy sposób. Wyraz jego twarzy zdradzał wściekłość i okrucieństwo, toteż nietrudno było mi odgadnąć, że pisze w tej chwili jakiś niezwykle cięty artykuł.

Ujrawszy mnie, kazał mi przejrzeć miejscowe dzienniki i napisać "Przegląd prasy" z uwzględnieniem wszystkiego, co by mi się mogło wydać godne uwagi.

Siadłem przy biurku i skreśliłem, co następuje:

PRZEGLĄD PRASY TENESSYJSKIEJ

Wydawcy tygodnika "Trzęsienie Ziemi" kierują się, jak się zdaje, jakimś nieuzasadnionym uprzedzeniem względem nowo powstającej kolei w Ballyhack. Jak nas informują, Towarzystwo Akcyjne wcale nie ma zamiaru ominąć osady Buzzardville. Przeciwnie, Towarzystwo uważa tę osadę za jeden z najważniejszych punktów linii kolejowej. Nie wątpimy przeto, że czcigodni panowie z "Trzęsienia Ziemi" zamieszczą niniejsze sprostowanie.

Mr. John W. Blossom, utalentowany wydawca "Pioruna" oraz "Echa Wolności" w Higginsville, przyjechał wczoraj do naszego miasta i zamieszkał w hotelu Van Burensa. Zwracamy uwagę czytelników, że nasz kolega z "Wycia Porannego" myli się bardzo, zapewniając, że wybór Van Wartera nie jest jeszcze faktem dokonany; nie wątpimy, że sprostuje on swój błąd. Niewątpliwie kolega nasz padł ofiarą nieporozumienia, w które wprowadziły go niekompletne listy wyborcze. Niech nam będzie wolno stwierdzić z całym zadowoleniem, że miasto Blatherville stara się o zawarcie kontraktu z kilkoma przedsiębiorcami z New Yorku w celu wybrukowania swych ulic.

Dziennik "Hura Codzienne" rozpatruje tę decyzję w sposób umiejętny i przypuszcza, że raz

wreszcie dzieło to osiągnie pomyślny skutek.

Artykuł ten dałem redaktorowi, aby go przejrzał, poprawił lub zniszczył. Ten rzucił okiem, na dzieło mego pióra - i chmura przebiegła po jego obliczu. Przejrzał powtórnie artykuł i jego twarz przybrała wyraz gniewu. Nietrudno było dostrzec, że coś mu nie dogadza.

Naraz redaktor podskoczył na krześle i zawołał:

- Do stu tysięcy diabłów! Czyż pan myśli, że w ten sposób można pisać? Czy może pan sądzi, że czytelnicy mego organu zadowolą się taką wodą? Ho! ho! Pozwól pan pióro!

Nie zdarzyło mi się widzieć nigdy w życiu, aby jakieś pióro tak szybko kreśliło, mazało, poprawiało i niweczyło czyjeś słowa w sposób aż tak bezwzględny.

Podczas gdy redaktor pracował, ktoś strzelił do niego przez otwarte okno i zepsuł całą symetrię mego ucha.

- Ach! - wykrzyknął mój zwierzchnik. - To ten łotr Smith z "Wulkanu Moralnego"; powinien był stawić się tu wczoraj.

To mówiąc wyciągnął zza pasa rewolwer i wystrzelił. Smith padł, trafiony w udo.

Zmieniło to kierunek drugiego wystrzału Smitha, który trafił w nieznajomego. Tym nieznajomym, któremu kula urwała palec, byłem ja.

Naczelny redaktor dalej prowadził swe dzieło zniszczenia na moim rękopisie. W chwili gdy kończył, wpadł przez komin granat ręczny i roztrzaskał piec na drobne kawałki. Poza tym nie wyrządził żadnej szkody, tylko jakiś drobny odłamek wybił mi parę zębów.

- Ten piec już na nic - zauważył naczelny redaktor.

Powiedziałem, że i mnie się tak wydaje.

- No, ale mniejsza o to. Niepotrzebny mi przy takiej pogodzie. Wiem, kto to zrobił. Dostanę go w swoje ręce!

Patrz pan, oto jak powinno być napisane!

Wziąłem rękopis. Tak był poskrobany i pomazany, że rodzona matka nie poznałaby go, gdyby ją kiedykolwiek posiadała. Teraz brzmiał, jak następuje:

PRZEGLĄD PRASY TENNESSYJSKIEJ

Nałogowi łgarze z tygodnika "Trzęsienie Ziemi" znów zamierzają obrzucić jadem swych plugawych oszczerstw grono uczciwych i dostojnych postaci; obecnie przedmiotem ich wstrętnej mistyfikacji stało się jedno z najświetniejszych przedsięwzięć w ostatnich czasach - a mianowicie kolej żelazna w Ballyhack. W ich zwyrodniałych mózgownicach zrodził się pomysł, że kolej ta ominie osadę Buzzardville. Doprawdy, lepiej by się utopili w kałuży własnego kłamstwa, zanim by się mieli od nas doczekać lania, które im się prawdziwie należy.

Kretyn z "Pioruna" i "Echa Wolności" znów się ukazał w naszym mieście. Staął, osioł, u Van Burensa.

Prosimy o zwrócenie uwagi na to, że łotr z "Wycia Porannego" z właściwą sobie perfidią podał w swojej szmacie, że Warter nie został wybrany! Nie bacząc na to, że apostolstwem dziennikarza amerykańskiego jest krzewienie wśród bliźnich prawdy, tępienie fałszu, kształcenie społeczeństwa, podnoszenie poziomu etycznego oraz obyczajności ogółu, że pod wpływem dziennikarza wszyscy winni stawać się łagodniejsi, litościwsi oraz pod każdym względem lepsi i szczęśliwsi - ten łotr spod ciemnej gwiazdy hańbi święte apostolstwo dziennikarstwa amerykańskiego rozsiewając oszczercze fałsze, wymysły i grubiaństwa.

Obywatelom Blatherville'u zachciało się - bruków!!! Przydałoby się im raczej więzienie albo dom starców. Też pomysł! Brukować miasto, które ma ledwie jedną gorzelnię, jedną kuźnię i jedną szmatę w rodzaju dziennika "Hura Codzienne"! Nic więc dziwnego, że ten gad Bucker, redaktor

"Hura Codziennego" - drze się wniebogłosy w tej sprawie, we właściwy sobie kretyński sposób sądząc, że gada do rzeczy!

- Oto jak należy pisać z temperamentem. Styl cukierkowy w dziennikarstwie nie zda się na nic!

W tej chwili z wielkim hukiem wleciała przez okno cegła i uderzyła mię w plecy.

Usunąłem się, bo wydało mi się, że stoję komuś na drodze.

- To zapewne pułkownik - rzekł redaktor. - Czekałem na niego dwa dni, w tej chwili powinien się tu pokazać.

Miał słusność. W chwilę potem stanął na progu pułkownik z rewolwerem w ręku.

- Czy mam zaszczyt mówić z tchórzem, który wydaje to podłe pismo?

- Tak, panie. Siadaj pan, proszę. Ostrożnie z krzesłem, brak mu jednej nogi; sądzą, że mam zaszczyt rozmawiać z beczelnym kłamcą, pułkownikiem.

- Właśnie. Mam mały rachunek do uregulowania z panem. Jeśli ma pan wolną chwilę, to moglibyśmy zacząć.

- Mam do skończenia artykuł o "Wyraźnym postępie moralnym i intelektualnym w Ameryce", ale to nic pilnego. Zaczynaj pan.

Oba pistolety wystrzeliły jednocześnie. Naczelny redaktor stracił jeden kędzior ze swej bujnej czupryny, a kula pułkownika obrała sobie stałe lokum w najbardziej mięsistej części mego uda.

Pułkownik miał nieco nadwerężone lewe ramię.

Strzelił po raz drugi. Obaj chybili, ale ja dostałem swój udział; któryś bowiem przestrzelił mi rękę.

Za trzecim razem przeciwnicy pogłaskali się zaledwie kulami, ja zaś miałem zranioną nogę w kostce.

Wówczas powiedziałem, że chciałbym udać się na przechadzkę, zważywszy, że jest to sprawa prywatna, w której wrodzona delikatność nie pozwala mi brać dalszego udziału. Ale obaj panowie prosili mię, abym usiadł, zapewniając, iż bynajmniej im nie przeszkadzam. Po czym przystąpili do nabijania broni rozmawiając przy tym o żniwach i wyborach, a ja zająłem się opatrywaniem mych ran.

Strzelanina rozpoczęła się na nowo, z ogromną zawziętością; każdy strzał był celny, z tym jednak, że na sześć kul pięć trafiło we mnie.

Za szóstym strzałem pułkownik otrzymał śmiertelną ranę, po czym z właściwym sobie humorem stwierdził, że zmuszony jest się pożegnać mając ważne sprawy do załatwienia na mieście.

Potem, zapytawszy o drogę do przedsiębiorcy pogrzebowego, opuścił nas.

Redaktor zwrócił się do mnie:

- Oczekuję dziś gości na obiad i muszę się przygotować na ich przyjęcie. Zrobi mi pan prawdziwą grzeczność zastępując mnie tutaj i przyjmując interesantów.

Troszkę się wzdygnąłem wobec perspektywy przyjmowania interesantów, ale zanadto byłem oszołomiony strzelaniną, która jeszcze mi huczała w uszach, aby zdobyć się na jakąkolwiek opozycję.

Redaktor ciągnął dalej:

- Jones będzie tu o trzeciej, musi go pan wypoliczkować. Gillespie przyjdzie może wcześniej, trzeba wyrzucić go przez okno. Ferguson ma być koło czwartej, uśmierci go pan.

Wydaje mi się, że to na dzisiaj wszystko. Gdyby miał pan chwilę swobodną, proszę napisać cięty artykuł na policję, a zwłaszcza zjechać głównego inspektora. Broń jest w szufladzie, naboje leżą w kącie, a za piecem są bandaże. W razie wypadku znajdzie pan na dole chirurga, dr Lanceta. Ogłasza się u nas, a my inkasujemy zapłatę w jego usługach lekarskich.

Wyszedł.

Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów. W przeciągu następnych paru godzin narażony byłem na tak straszliwe niebezpieczeństwa, że opuściła mnie wszelka pogoda umysłu i beztroska.

Przyszedł Gillespie i on mnie wyrzucił przez okno. Jones zjawił się w porę i gdy zabierałem się do spoliczkowania go, wyręczył mnie w tym miłym zajęciu. Jakiś całkiem nadprogramowy przybysz pozbawił mnie części mych włosów. Inny nieznajomy, nazwiskiem Thompson, pozostawił mnie już w stanie zupełnej ruiny, zamieniając mą odzież w garść łachmanów. Na ostatek zostałem napadnięty i obłożony w kącie pokoju przez wściekłą tłuszcę jakichś redaktorów, policjantów i innych indywiduów, które klęły, wrzeszczały i wymachiwały mi nad głową bronią wszelkiego rodzaju, aż powietrze się rozjaśniło w pokoju od ciągłych błysków stali. Miałem właśnie wyrzec się stanowiska współredaktora, gdy powrócił mój zwierzchnik wiodąc za sobą gromadkę ożywionych i najwyraźniej zachwyconych nim przyjaciół. Wywiązała się bijatyka i mordownia, której żadne ludzkie pióro nie jest w stanie opisać. Ludzie nawzajem zabijali się, ćwiartowali, wysadzali w powietrze, wyrzucali oknami. Rozlegały się ponure bluźnierstwa i wściekłe okrzyki wojenne, po czym wszystko ucichło. W ciągu pięciu minut pokój się opróżnił i znalazłem się sam z redaktorem, skąpanym we krwi; spojrzeliśmy jednocześnie na obraz krwawego zniszczenia roztaczający się przed nami.

On rzekł:

- Polubi pan to miejsce, przywyknie pan do niego.

Odparłem:

- Mam nadzieję, że zechce mnie pan uznać za wytłumaczonego; być może, iż z czasem nauczyłbym się pisać w sposób, który panu dogadza; nie wątpię, iżby mi się to udało, skoro tylko nabrałbym wprawy i oswoił się z językiem. Ale, prawdę rzekłszy, ta dosadność wyrażenia ma swoje niedogodności, a przy tym trudno tu pracować bez przerwy. Sam pan musi zdawać sobie z tego sprawę. Oczywiście, ta jędrność stylu ma na celu podźwignięcie poziomu umysłowego publiczności, ale ja nie życzę sobie tak dalece zwracać na siebie uwagę. Nie umiem też pisać swobodnie, gdy przerywają mi tak często jak dzisiaj. Owszem, podoba mi się to zajęcie, ale nie chciałbym, aby mi poruczano przyjmowanie interesantów. Wrażenia te są oryginalne, przyznaję, i mogą sprawiać pewną przyjemność, gdyby były sprawiedliwie rozdzielane. Ktoś strzela do pana przez okno i rani mnie; granat wpada przez komin pod pana adresem i wsadza kawał pieca prosto w mój nos; przyjaciel jakiś wpada, aby z panem zamienić parę grzecznościowych uwag, i tak mnie na wylot przedziurawia kulami, że nie jestem nawet w stanie zachować równowagi umysłowej; idzie pan sobie na obiad, tymczasem zaś przychodzi Jones - aby mnie policzkować, Gillespie - aby mnie wyrzucać przez okno, Thompson - aby mnie obedrzeć z wszelkiego odzienia, a jakiś nieznajomy zgoła osobnik skalpuje mnie z całą nonszalancją; wreszcie wpadają wszystkie okoliczne opryszki i swymi tomahawkami wypędzają ze mnie tę resztę ducha, która kołocz się jeszcze w moim ciele.

Ogółem wzięwszy, w życiu moim nie zaznałem tylu wrażeń, co przez dzień dzisiejszy. Nie, panie. Lubię pana, lubię niewzruszony spokój, z jakim załatwia pan swoich interesantów, ale widzi pan, nie przywykłem do tego trybu życia. Serce południowca jest zbyt impulsywne, a gościnność południowca zbyt obcesowa dla nas, ludzi północy. Artykuliki, które dziś napisałem, a w których chłodne frazesy mistrzowską swą ręką wsączył pan gorącą esencję tennesyjskiego dziennikarstwa, poruszą nowe gniazdo szerszeni. Przyjdzie znów cała tłuszcza redaktorów; może będą głodni i będą musieli wyładować na kimś swe niezadowolenie. Chciałbym przedtem pożegnać pana. Uchylam się od wszelkiego udziału w tych uroczystościach. Przyjechałem na południe, aby podreperować moje zdrowie, i w tym samym celu chcę odbyć jak najprędzej podróż powrotną. Dziennikarstwo tennesyjskie stanowczo zanadto mnie podnieca.

Po czym pożegnaliśmy się z obustronnym żalem, a ja natychmiast wynająłem mieszkanie - w

szpitalu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl